POLSKA NA MORZU

PISMO LIGI MORSKIEJ i KOLONIALNEJ

Nr. 1 | WARSZAWA, STYCZEŃ 1937 | ROK 4



Świat w kilku wierszach

Ubiegły miesiąc przyniósł nam znamienny układ Niemiec z Japonią, którego ostrze wymierzone zostało przeciw Sowietom. Aczkolwiek treść układu nie jest znana — według wersyj prasowych — przewiduje on pomoc Japonii dla Niemiec w razie komplikacyj europejskich. Z drugiej strony, na zasadzie tego układu Japonia będzie mogła wykonać w ciągu trzech do czterech lat program dozbrojenia. Niemcy mają dostarczyć w pierwszym rzędzie czołgów i samolotów, ponieważ ostatnie manewry miały wykazać braki w armii japońskiej w dziedzinie zbrojeń technicznych.

★

W Polsce bawił w ostatnich dniach listopada minister spraw zagranicznych Rumunii p. Antonescu. Wizyta ta, poza względami kurtuazyjnymi, była manifestacją przyjaźni polsko - rumuńskiej i spotkała się z żywym oddźwiękiem opinii publicznej obu krajów.

★

Wizyta szefa sztabu armii rumuńskiej gen. Samsonovici, który bawił w Polsce w pierwszej połowie grudnia była dalszym aktem pogłębienia sojuszu polsko - rumuńskiego. Podczas swego krótkiego pobytu w Warszawie gen. Samsonovici odbył szereg rozmów i był podejmowany bardzo uroczyście przez reprezentantów wojska i rządu.

Należy nadmienić, że z Rumunią łączy nas od 17 lat sojusz polsko-rumuński, podwaliny pod który zbudował swą polityką Marszałek Józef Piłsudski.

★

W parlamencie polskim rozpoczęła się normalna sesja budżetowa, w czasie której ustalony zostanie preliminarz wydatków na 1937—38 rok. Na pierwszym posiedzeniu Sejmu p. wicepremier Kwiatkowski wygłosił obszerne expose na tematy gospodarcze, w którym scharakteryzował dokładnie obecną sytuację ekonomiczną kraju i wykazał znamiona poprawy oraz ożywienie zarówno na rynku przemysłowym, jak i rolnym.

★

W Rosji Sowieckiej odbył się nadzwyczajny kongres Sowietów, na którym dyktator Z. S. S. R., Stalin, wygłosił osobiście referat o nowej konstytucji. Konstytucja ta przyznaje teoretycznie szereg swobód obywatelom Z. S. S. R., aczkolwiek, jak stwierdził sam Stalin, „zachowuje reżim dyktatury klasy robotniczej".

★

Król angielski Edward VIII zrzekł się tronu w dniu 10 grudnia i ogłosił akt abdykacyjny. Postanowienie to spowodowane zostało względami natury prywatnej a mianowicie król Edward VIII nie chciał zrezygnować z małżeństwa z Amerykanką p. Simpson, mimo, że przeciwko niej wypowiedziała się opinia Anglii. Tron angielski objął młodszy brat króla Edwarda VIII, Jerzy VI.

★

Dn. 14 grudnia r. ub. odbyła się wielka uroczystość poświęcenia zapory wodnej w Porąbce na Sole. Zapora ta, zbudowana kosztem 18 milionów złotych, będzie największym zbiornikiem wody w Polsce i uchroni znaczne tereny przed straszliwymi skutkami powodzi. W przyszłości energia wodna przetworzona przy pomocy turbin zostanie na siłę elektryczną, która zdolna będzie zaopatrzyć w prąd znaczne tereny.

★

W Chinach wybuchł nowy zamach wojskowy, zorganizowany przez generała Czang - Tsue-Lianga, którego oddziały więziły przez pewien czas marszałka Chin Czang-Kai-Szeka. Według ostatnich wiadomości zamach ten został zlikwidowany, organizator zaś zaburzeń, Czang-Tsue-Liang ma przebywać obecnie w więzieniu.

★

W artykule, udzielonym czasopismu angielskiemu „Foreign Affairs", min. gospodarstwa Rzeszy dr. Schacht stwierdza, że dopóki kolonialne zagadnienia surowcowe nie będą rozstrzygnięte dla Niemiec, Niemcy, mimo swego zamiłowania do pokoju, pozostaną nadal ogniskiem niepokoju. Dr. Schacht podkreśla poza tym, że Japonia i Włochy nie należy już do rządu państw „nieposiadających" i że jedynym mocarstwem niezaspokojonym są obecnie tylko Niemcy. Dalej dr. Schacht mówi, że nie należy uważać zagadnienia kolonialnego za kwestię prestiżu, że przeciwnie należy przyznać, że jest to problem wyłącznie gospodarczy, od którego rozstrzygnięcia zależy pokój Europy.

Wywody d-ra Schachta wywołały w kołach zagranicznych duże poruszenie.

Okręt Rzeczypospolitej Polskiej „Gryf"

I znów Polska Marynarka Wojenna powiększyła się o nowy okręt wojenny — stawiacz min „Gryf". Okręt o charakterze nawskroś obronnym, to znaczy, że zaczepiać nim nikogo nie będziemy. Ale gdyby znalazł się wróg, któryby chciał na wodach polskich krzywdę jakąś naszemu wybrzeżu, naszym portom czy też naszym statkom handlowym wyrządzić, to... znajdzie twardy orzech do zgryzienia. Albowiem „Gryf" ustawi wówczas na drogach wiodących do brzeku polskiego, swoje miny i biada okrętowi, który potknie się o taki „kociołek".

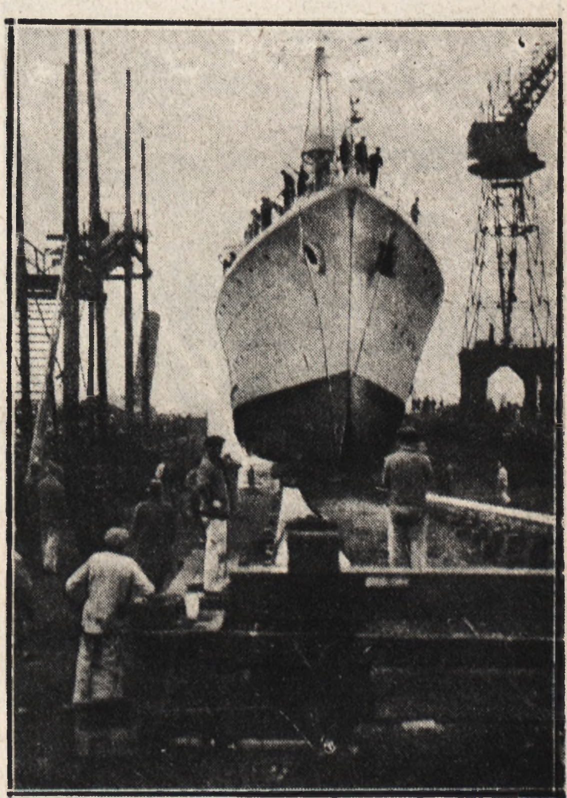
Miny blokadowe stawia się pod wodą, na specjalnych kotwicach, na głębokości kilku metrów nieraz nawet poprostu pod powierzchnią, tak, aby nie było ich widać. Okręt nieprzyjacielski niekoniecznie potrzebuje na minę najechać, aby zaprzestać dalszej wojny. Poprostu sama świadomość zaminowania pewnego obszaru jest czasem już wystarczającą obroną. Żaden wróg zbliżyć się wówczas nie odważy.

Oczywiście miny można przy pomocy specjalnych urządzeń, zwanych trałami lub parawanami wyłowić, czy usunąć. Ale na straży pól minowych stoją zwykle inne, własne okręty (krążowniki, torpedowce, a zwłaszcza łodzie podwodne i wodnosamoloty). One to wroga, zajętego mozolną pracą wyławiania min, przyprawić mogą o zgubę, względnie zmusić do zaniechania tej pracy .I w ten sposób wybrzeże zostaje obronione na całej linii.

Miny to jeszcze nie wszystko. W razie wojny nie tylko trzeba umieć bronić się koło własnego brzegu, bo taka obrona nie wystarczałaby dla zapewnienia łączności ze światem, dla zabezpieczenia ruchu własnych statków handlowych poza wodami przybrzeżnymi. Do tego potrzebne są inne okręty — wielkie i szybkie —krążowniki liniowe i pancerniki, a także duże kontrtorpedowce i łodzie podwodne dalekiego morza. Dwie ostatnie kategorie Polska już posiada. I właśnie łódź podwodna, budowana ze składek Funduszu Obrony Morskiej, będzie taką łodzią dalekiego morza, innymi słowy — krążownikiem podwodnym. Ale z czasem musimy jednak zdobyć się też na budowę okrętów liniowych.

Wróćmy jednak do „Gryfa". Przenieśmy się do francuskiego portu Le Havre (Hawr), gdzie na stoczni Augustin-Normand, zbudowano już drugi okręt polski (pierwszym była łódź podwodna „Wilk"). Na tejże stoczni zbudowano zresztą cały szereg okrętów dla marynarek: francuskiej, hiszpańskiej, rosyjskiej (przed wojną) duńskiej, szwedzkiej, łotewskiej, estońskiej i innych.

Ranek 29-go listopada chmurny jest i mglisty. Ale mimo to już przed ósmą istny tłum zalega majdan stoczni, w końcu którego widnieje wysoko na pochylni stojący okręt. To „Gryf",



Wodowanie „Gryfa"

pierwszy polski nawodny stawiacz min: 2250 ton, 103 metry długości, pomieszczenia na 200 ludzi załogi.

Przybywają osobistości oficjalne, a więc pierwszy radca Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej w Paryżu p. Frankowski, szef Kierownictwa Marynarki Wojennej kontr-admirał Świrski, delegat francuskiego ministerstwa marynarki kontr-admirał Rivet (we Francji marynarka wojenna ma swoje osobne ministerstwo), sekretarka generalna Unii Polskich Związków Obrońców Ojczyzny p. Barthel de Weydenthal, przedstawiciel Rady Głównej LMK, władze miejscowe, goście i t. d. Punktualnie o g. 8.50 chrzestna matka okrętu, pani Frankowska, przecina tradycyjny sznur i butelka szampana rozpryskuje się o stromy dziób stawiacza min...

Tu chwila głębokiej ciszy. Wszyscy wstrzymują oddech w piersiach. Spłynie szczęśliwie, czy też zatrzyma się na złą wróżbę. Inżynier który za wodowanie jest odpowiedzialny, przeżywa chwilę wielkiego niepokoju... Cisza jest tak wielka, że słychać wokoło wyraźnie świst



Nurek, spuszczany na dno morza

dwu pił, którymi czterej wyborowi robotnicy tną ostatnią więź, przytrzymującą kołyskę, na której stoi okręt.

— Rrrazem. Rraaz! — przynaglają się obie pary traczy (oczywiście po francusku).

I naraz lekki, suchy trzask, a po nim gromki okrzyk tysiącznego tłumu. Okręt wyraźnie drgnął... Za chwilę ruszył... A jeszcze za ułamek sekundy pędzi już wprost ku morzu, które zda się tylko na to czeka... Bo z radosnym szumem rozpryskuje się wokoło...

Jakby kto wielki kamień na wodę rzucił, rozchodzą się rozedrgane kręgi po całym basenie portowym. Kilka małych holowników podpływa do okrętu, łamiąc ich piękną harmonię. Już padają cumy, już „Gryf" jest na uwięzi, już prowadzą go do nadbrzeża. A tymczasem orkiestra 129-go pułku piechoty francuskiej — 80 trębaczy, doboszy i orkiestrantów — gra kolejno „Jeszcze Polska", „Marsyliankę" i „Marsz Lotaryngii". Dostaje za to od tłumu rzęsiste oklaski.

Następują przemówienia, padają słowa pełne głębokiego sensu politycznego. Oto p. Lejeune — prezes rady stoczni — powołuje się na starodawne francuskie braterstwo broni, na nazwisko wodzów obu narodów wyryte obok siebie na Łuku Tryumfalnym Paryża (należy dodać, że w Warszawie na grobie Nieznanego Żołnierza, figurują też nazwy bitew pod Arras i St. Hilaire, gdzie płynęła obficie krew polska). Winszuje Polsce nowego okrętu i wznosi zdrowie naszej marynarki wojennej.

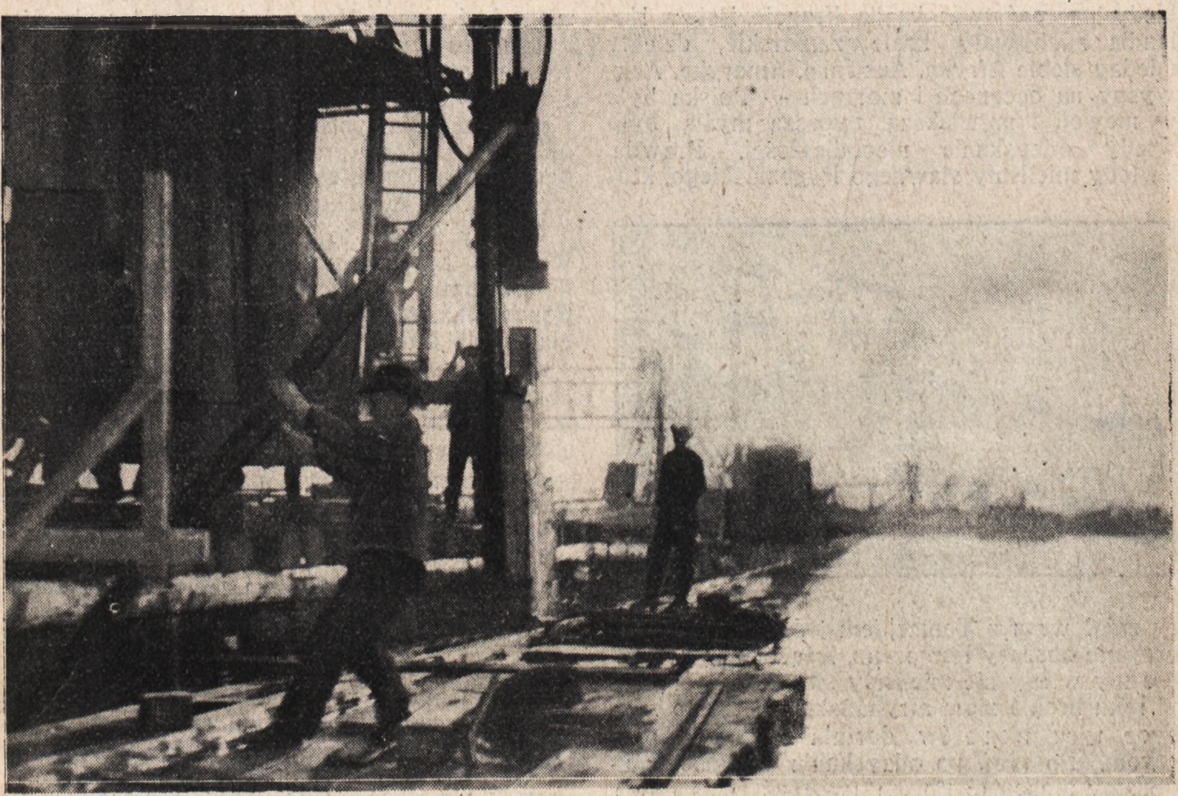
Drugi z kolei radca Frankowski zaznacza wyraźnie, że rząd polski zdecydował się w marynarce swojej widzieć narzędzie obrony państwa i pokoju światowego. Dlatego też prowadzić będzie systematycznie jej rozbudowę, wiedząc, że między dwoma sprzymierzonymi krajami morze stanowi łącznik i najkrótszą linię komunikacyjną. Praca stoczni Augustin - Normand jest najlepszym świadectwem tej przyjaźni, to też marynarze polscy, pływając na „Gryfie" wspominać będą niezawodnie o sprzymierzonej Francji i jej wybitnych pracownikach.

Ostatni zabrał głos admirał Świrski, podnosząc iż 3/4 polskiego obrotu handlowego z zagranicą idzie drogą morską. dzięki czemu polski rolnik, górnik, czy rzemieślnik znajduje jeszcze zbyt na produkt swej pracy. Gdyby morza nie stało, gdybyśmy zostali odcięci od świata, udławilibyśmy się własną produkcją i stalibyśmy się narodem nędzarzy. Dlatego morza i wolności morskiej wszelkimi siłami, a nietylko sentymentem bronić musimy.

I tak jest w istocie. Nic nam nie pomogą hasła, zaklęcia czy przysięgi. Nic nam też nie pomoże przysłowiowa dzielność, rycerskość czy odwaga — jeśli nie posiądziemy odpowiedniego do naszych potrzeb obronnych sprzętu. Wojsko lądowe można od biedy wyćwiczyć i uzbroić w kilka miesięcy. Ale na stworzenie silnej marynarki wojennej—trzeba nieraz lat dziesiątków. Dlatego też praca nad obroną polskiego morza większych wymaga wysiłków.

Że jednak wysiłki te, w których Liga Morska i Kolonialna żywy bierze udział, zakończą się pomyślnie stworzeniem wielkiej floty wojennej, — w to żaden dobry Polak wątpić nie powinien. I łożąc w miarę możności na Fundusz Obrony Morskiej — sam winien przyczynić się do jej powstania.

J. G.



Po dniach kolonialnych

Dni kolonialne są już poza nami. Był to pierwszy w dziejach Polski czasokres, poświęcony wytężonej pracy propagandowej nad zaznajomieniem ludności całego kraju z zagadnieniem kolonialnym. Przez radio, rozliczne akademie, odczyty, przez słowo, drukowane w broszurach, ulotkach, czasopismach i gazetach codziennych — dowiedzieliśmy się, że wobec warunków, w których obecnie żyjemy, szybkiego narastania ludności, powodującego przeludnienie, bezrobocie, nędzę, — wobec braku surowców, t.j. towarów zamorskich, sprowadzanych w stanie nieprzerobionym, a więc wełny, bawełny, juty, kauczuku, nasion oleistych, wysokogatunkowych rud metalicznych—musimy się upomnieć o sprawiedliwszy podział olbrzymich terenów zamorskich, zapewniających możliwość lokowania nadmiaru ludności oraz bezpośredniego dostępu do wspomnianych surowców. Dowiedzieliśmy się że nie uciekanie się do półśrodków, jakimi są dotychczasowe metody zwalczania bezrobocia i nędzy ludności wiejskiej, lecz zdecydowany program kolonialny— będzie najlepszą bodaj drogą do osiągnięcia dobrobytu. Surowce, sprowadzane bezpośrednio z własnych źródeł, ożywią i rozwiną przemysł, zatrudniając dużą liczbę rąk, czekających pracy,—z karłowatych gospodarstw wiejskich wiele osób znajdzie zatrudnienie w miastach, a bogate i żyzne ziemie zamorskie wchłoną rolników, dla których w Polsce brakuje już teraz ziemi. Ciasno jest nam na kilku hektarach ubogiej ziemi centralnej części Polski, a jeszcze ciaśniej w okolicach podgórskich.

O tym wszystkim czytaliśmy, tego wszystkiego słuchaliśmy, nie zapominając i o ludności żydowskiej dla której muszą się znaleźć tereny osadnicze, to nie podobna przecież, abyśmy nadal byli krajem, w którym chłop polski i robotnik nie może jąć się handlu i rzemiosła.

Wiemy już o tym wszystkim i oceniamy, jak olbrzymie korzyści wypływają z posiadania własnych kolonij. Po to właśnie LMK zorganizowała owe „Dni Kolonialne", aby to wszystko dotarło przede wszystkim do polskiego chłopa, robotnika, do młodzieży, do tych, którzy najbardziej cierpią naskutek ciężkich czasów.

Mogłoby wielu z nas pomyśleć: — Jeśli dostęp do surowców kolonialnych i terenów zamorskich może zapobiec przeludnieniu i bezrobociu, to czemu wcześniej o tym nie pomyślano? Czemu „Dnie Kolonialne" właśnie na rok 1936 przypadły?". Otóż to właśnie. W czasach,

kiedy inne państwa: Anglia, Francja, Belgia, Holandia, zdobywały kraje zamorskie, dzieliły między siebie Afrykę, Australię, Amerykę, Azję, wyspy na oceanach i morzach — Polska była w niewoli i największą twórczą myślą było wtedy odzyskanie niepodległości. Prawda i wtedy mieliśmy sławnego Rogozińskiego, który



zajął wraz z Tomczkiem i Janikowskim olbrzymie obszary Kamerunu, leżącego w Afryce. Ale my wtedy nie mieliśmy siły, aby z orężem w ręku bronić ziem afrykańskich, i tak to zdobycz tych pionierów dostała się innym państwom. Po tym, po odzyskaniu wolności, musieliśmy umacniać Polskę, tworzyć ją na nowo, aby stała się silną, jaką dziś już jest, o której przymierze ubiegają się mocarstwa europejskie.

Nie myślcie jednak, że idea kolonialna powstała i wystrzeliła dziś—„Dniami Kolonialnymi". Na wiele lat przed tym w łonie LMK myśl ta była opracowywana. Czyniono pola doświadczalne, że przypomnimy tu zakładanie osad wzorowych w Paranie, próby nawiązania stosunków handlowych z Afryką Zachodnią, i tworzenie plantacyj polskich w Liberii, kształcenie młodzieży w szkołach kolonialnych francuskich, rozprzestrzenianie zagadnienia kolonialnego wśród pół miliona członków LMK i organizacyj młodzieżowych akademickich. Wszystko to w tym celu, aby przygotować grunt, na którym można byłoby te Dni zorganizować, nie narażając się na niezrozumienie.

LMK przyszła do społeczeństwa z pewnym dorobkiem, który mówi: „Jesteśmy zdolni do pracy kolonialnej tak, jak i inne narody". LMK przyszła do społeczeństwa z hasłem ekspansji kolonialnej w chwili, gdy na świecie zarysowały się możliwości sprawiedliwszego podziału kolonij, gdy dążyć do tego zaczyna nie tylko Polska, ale i inne państwa pokrzywdzone, cierpiące na przeludnienie i głód surowców.

Na arenie międzynarodowej coraz głośniej mówi się o konieczności zastanowienia się nad innym podziałem bogactw świata. I wierzyć trzeba, że jeżeli pretensje innych państw zostaną zaspokojone, to i potrzeby Polski uwzględnione być muszą. Nasze dążenia na terenie międzynarodowym wyświetlili ministrowie: Beck, Rose i Komarnicki. Ale, by głos ich miał należyty oddźwięk, musiało wypowiedzieć się także i społeczeństwo polskie. Nasze „Dni Kolonialne" wywarły za granicą duże wrażenie. Na ogół podkreślano słuszność polskich dążeń i konieczność ich zaspokojenia.

Byłyby jednak te Dni krótkotrwałym fajerwerkiem, gdybyśmy tylko na nich opierać mieli wewnątrz społeczeństwa ideę kolonialną. Rzucono hasło, że nadszedł czas urzeczywistnienia myśli, która nurtowała przez lat tyle najcenniejsze umysły. To hasło, to właśnie owe „Dni Kolonialne", które winny być zaczątkiem nowej wytrwałej pracy na drodze urzeczywistnienia istnienia kolonialnego Polski.

Jeśli z perspektywy paru tylko miesięcy, dzielących nas od owych Dni, rozejrzymy się dokoła — już dziś dostrzec można posiew manifestacyj kolonialnych. Prawie każdemu obywatelowi naszego państwa nie obce są zagadnienia kolonialne, które jeszcze parę lat temu spotykały się z niedowierzaniem lub zgoła ironią.

Na uczelniach naszych ministerstwo W.R i O.P. zatwierdziło: studium emigracyjno-kolonialne w Wolnej Wszechnicy w Warszawie i w Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie.

Młodzież garnie się do pracy kolonialnej, organizując na własną rękę, z pomocą specjalistów, kursy kolonialne, cieszące się olbrzymim zainteresowaniem.

Te, i wiele innych przejawów, jest widomym znakiem, że posiew „Dni Kolonialnych" przyniesie spodziewane plony i że sfery, kierujące rozwojem programu kolonialnego, znajdą w społeczeństwie polskim gromadne poparcie.

Jeśli jednak znajdą się wśród nas jednostki przeciwdziałające, krytykujące pragnienie zdobycia dla Polski stanowiska w świecie państw kolonialnych — to muszą sobie zdać sprawę z ca-



łym przekonaniem, że Polska będzie wówczas naprawdę mocna, gdy zostanie zrealizowana idea kolonialna wyprowadzająca kraj nasz do roli państwa światowego.

W. Karczewska

Bagna pontyńskie

W jednym z następnych numerów „Polski na Morzu" pomówimy o Polesiu, a teraz poświęcę kilka słów takiemu małemu Polesiu we Włoszech, t. zw. „bagnom pontyńskim, o których musieliście już nie raz słyszeć i przedstawię Wam, jakie korzyści dla swego narodu potrafił uzyskać z tych bagien geniusz Mussoliniego.

Włochy mają bez kolonii o 1/5 obszar mniejszy niż Polska, ale o 1/4 więcej ludności niż Polska i prawie o połowę mniejszy obszar uprawny na głowę niż u nas; produkcja rolna Włoch nie wystarczała więc na wyżywienie ludności i wiele zboża sprowadzano z zagranicy. Mussolini postanowił temu zaradzić, także i na przyszłość, na okres przyrostu ludności do 50 milionów, aby nie dopuścić do nędzy wielkiej masy swych rodaków, **nie zmniejszając jednak zamożności klas posiadających.** Program jego to dwa cele: 1) walka o ziarno, a więc podniesienie produkcji przez rozwój rolnictwa i 2) walka o ziemię, t. j. przekształcanie nieużytków na grunty o pełnej kulturze. Pomnikową pracą było realizowanie zagospodarowania bagien pontyńskich, roboty prowadzonej prawie od 2.000 lat.

Bagna te leżą o 70 km. na południe od Rzymu, między górami Lepińskimi, a morzem i zajmują obszar 76.000 ha. Były to lasy podmokłe i bagniska, łąki, na których pasły się stada dzikiego bydła i wylęgały biliony moskitów; teren częściowo wznosił się nie wiele nad poziom morza, częściowo nie dochodził do poziomu morza.

Próby oczyszczania rozpoczęli jeszcze Rzymianie, aby poprawić stan drogi „via Appia", biegnącej środkiem bagien; w średniowieczu usiłując zwalczać ogniska malarii, prawie u wrót Rzymu, lecz wysiłki były daremne. Do racjonalnych robót przystąpiono po roku 1871. lecz dopiero Mussolini postanowił przyśpieszyć roboty, aby uzyskać nowe osiedla, w pierwszym rzędzie dla uczestników wojny światowej, rolników z zawodu.

Roboty, wykonywane na podstawie nowego projektu rozpoczęto od budowy dróg, aby ułatwić dostawę materiału do budowy osad i aby każda osada otrzymała drogę dojazdową o twardej nawierzchni. Wykonano prawie 500 km. głównych dróg i 200 km. kolejek. Na węzłach dróg zakłada się wioski, łatwo dostępne z rozrzuconych osad; tam znajduje rolnik wszelkie urządzenia i organizacje, których potrzebuje, a więc kościół, szkołę, urząd gminny, pocztę, szpital, urząd rolniczo - osadniczy, który także skupuje produkty rolne, kino, świetlicę i t. p. Na węzłach głównych dróg zbudowano trzy miasta: Littoria, Potnina i Sabaudia, dwa już poświęcone, trzecie w budowie.



Działka osadnika wynosi średnio 20 ha i posiada dom piętrowy, izby 3,20 m. wysokie, stajnie na 10 sztuk bydła z drzwiami nie od północy oraz wszelkie inne potrzebne zabudowania, przestrzegając aby studnia i gnojówka były na przeciwległych końcach obejścia. Osadnik płaci za grunt wykarczowany, użyźniony, z ziarnem na pierwszy obsiew, zabudowaniami, drogi dojazdowe, kanały i narzędzia przeciętnie po 4.400 lirów (1.500 zł.) za 1 ha gruntu w ratach 30 letnich , przeważnie zbiorami.

Melioracje podstawowe i główne komunikacje wykonano kosztem państwa. Osadnicy uprawiają grunty według wskazówek zarządu osadniczego w swej wiosce, do którego również dostarczają zbiory i gdzie następuje wypłata według cen rynkowych, częściowo w gotówce, reszta idzie na spłatę działki. Każdy jest posiadaczem swej działki, wspólnot nie ma. Widzimy z tego jak wiele można osiągnąć przy wspólnym, zgodnym wysiłku.

Liczby, które mówią

Obok podajemy tablice, które obrazują: procentowy przyrost ludności w Polsce i za granicą, przeludnienie wsi polskiej i surowce własne i importowane.

Jakiż to ma związek ze sobą, cóż mnie obchodzi, jaki jest przyrost naturalny, albo jakie surowce sprowadzamy, ktoś zapyta.

A tymczasem każda z tych tablic, zamieszczonych, jest żywym obrazem życia. Bo pomyślcie, każda z tych liczb, jest jakby kliszą fotograficzną, na której uwieczniony został pewien fragment tego co jest w rzeczywistości.

Gdy ktoś wpatrzy się dobrze w te liczby, porówna je ze sobą, gdy myśl jego pójdzie tymi samymi śladami, skąd te liczby powstały, wtedy zrozumie bardzo wiele.

Choćby procentowy przyrost ludności w Polsce i za granicą.

Przyrost ludności w Polsce w roku 1935 wynosił na 1000 mieszkańców 12 osób, podczas gdy w Holandii tylko 11,5, w Portugalii — 12,2, w Hiszpanii — 9,9, Włoszech — 9.11, Belgii — 3.8, Anglii — 3.2, Francji — 0.5.

Wszystkie wymienione państwa, które mają mniejszy procent przyrostu ludności niż Polska — mają większe obszary do jej pomieszczenia. Wszystkie z nich bowiem posiadają kolonie.

Łącznie z koloniami, Holandia przecież posiada — 2.089 tys. km kw. obszaru, Portugalia — 2.185 tys. km kw., Hiszpania — 839 tys. km kw., Italia 3.895 tys. km kw., Belgia — 2.471 tysięcy km kw., Anglia, największa potęga kolonialna w świecie aż 36.777 tysięcy km kw., Francja — 12.384 tysięcy km kw., gdy tymczasem Polska ze swym największym wśród tych państw przyrostem naturalnym musi mieścić się na obszarze — 389 tysięcy km kw.

Liczby te wykazują, że Polska mając największy przyrost ludności w rzędzie wymienionych państw, ma jednocześnie najmniejszy obszar dla jej rozmieszczenia.

Więc z czego ci ludzie w Polsce żyją? — zapytałby jakiś cudzoziemiec. — Macie chyba jakieś bogactwa niezmierne w swoim kraju?

Tak. Bogactwa pewne posiadamy, mówi nam o tym nasza tabela, ale nie wszystkie.

Brak nam tak zwanych surowców, które istnieją tylko w krajach o gorącym klimacie a które stanowią często tak w życiu jednostek, jak w rozwoju przemysłu artykuł pierwszorzędnej potrzeby. I za bezcen musimy sprzedawać obcym nasze surowce, jak: drzewo, węgiel, naftę, cynk, aby uzyskać tak zwane dewizy, czyli obcą walutę na zakup u państw kolonianych surowców zamorskich dla przemysłu, jak: wełna, bawełna, kauczuk, juta, ruda żelazna, miedź, cyna; dla konsumcji: ryż, kawa, herbata, kakao, przyprawy korzenne.

Przejrzyste są te liczby i fakty, malują nad wyraz jaskrawo obraz naszego życia, ściśniętego, wtłoczonego w wąziutkie, ciasne ramy możliwości. Dla określenia tej sytuacji, mówi się często, że się dusimy.

Słusznie. Bo jak nazwać inaczej ten stan, że na małym obszarze skupiać się musi, z roku na rok powiększający się naród. Ze wsi do miast za pracą wędrować nie można, bo tam i tak istnieją olbrzymie masy bezrobotnych; z miast do wsi? Wieś też jest przeludniona.

Popatrzcie znów na liczby znajdujące się obok, aby zrozumieć, jak w rzędzie innych państw wygląda przeludnienie polskiej wsi.

Polska na obszarze 100 ha ziemi użytkowej ma zawodowo czynnych w rolnictwie 45,4, gdy tymczasem Holandia — 40,6, Belgia — 36,1, Niemcy — 34,2, Italia — 34,1, Francja — 25,0, Z. S. S. R. — 16,2, Dania — 15,5. Przeludnienie wsi polskiej ma dla Polski zupełnie odrębne znaczenie, bowiem jesteśmy państwem wybitnie rolniczym i podczas gdy u nas stosunek ludności zawodowo-czynnej w rolnictwie wynosi 72,3% do ogółu ludności, to we Francji tylko 34,5%, w Danii 30,3%, w Holandii 20,1%, w Niemczech, 24,5%. Większość tych krajów wymienionych, które na takim samym obszarze ziemi zatrudniają mniejszą liczbę rolników, posiadają jeszcze tę przewagę, że mają najczęściej wysoką kulturę rolną, która sprawia, że ten sam obszar ziemi staje się bardziej rentowny.

Dania — to kraj, który słynie w całym świecie z niezwykłej kultury rolnej.

Zupełnie normalny jest w Danii widok średniego gospodarza, przyjeżdżającego na targ z produktami rolnymi, ładnym samochodem.

Gdy tymczasem poprzez liczbę przeludnienia wsi polskiej — przegląda nędza.

Ludności na wsi przybywa. Nie mogąc iść do miast, do fabryk, ludność wsi osiada na skrawku ziemi. Ziemię tę dzieli się bez końca, między dzieci, po tym wnuków. Ten sam obszar, który przed tym żywił kilka osób, obecnie żywi kilkadziesiąt.

Już czasem nie można poprostu tej ziemi podzielić, bo w niektórych okolicach wypada jej na każde-

go członka rodziny po... kilkaset metrów. Ktoś może powie, że to nieprawda, że to już przesada, niestety — tak jest.

Więc co? Skazani jesteśmy na nędzę, na uduszenie się w tym nadmiernym ścisku?

To zależy tylko od nas. Te liczby, które zamieszczamy, a które z każdym rokiem będą się powiększać — są dla nas przestrogą, że musimy zyskać sprawiedliwy udział w zamorskich surowcach. Dopóki nie jest zapóźno.

Od tego bowiem zależy nie tylko podniesienie się poziomu ogólnego dobrobytu, lecz pomyślne rozstrzygnięcie sprawy decydować będzie o dalszym charakterze całego narodu. Układ tych liczb, obrazujących nasze życie w stosunku do innych państw — musi się zmienić — na naszą korzyść. W przeciwnym razie hamować one będą wszelkie najbardziej celowe dążenia narodu do zajęcia w świecie pozycji wielkiego, światowego państwa, a ciężarem swym ciągnąć będą naród coraz mocniej na dno nędzy.

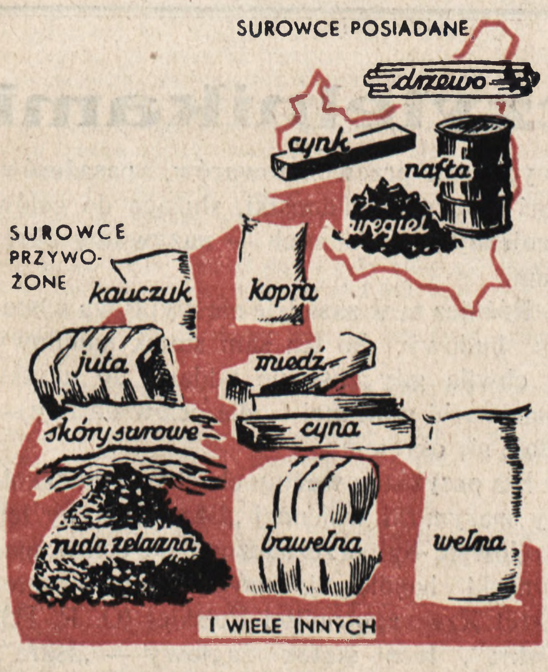
Tabl. I. Procentowy przyrost w Polsce i za granicą.

Tabl. II. Surowce posiadane przez Polskę oraz surowce, które musimy sprowadzać dla potrzeb naszego przemysłu.

Tabl. III. Na 100 hektarach ziemi zawodowo czynnych w rolnictwie w Polsce i w innych krajach.



Tabl. I.



Tabl. II.



Tabl. III.

Dzień Polonii zagranicznej

24 stycznia 1937 r. Polska święcić będzie po raz pierwszy „Dzień Polaka z Zagranicy". Dzień ten, ma społeczeństwu polskiemu przedstawić w całej rozciągłości wagę zagadnienia 8-mio milionowej rzeszy polonii zagranicznej, skupionej w 30-tu ośrodkach, we wszystkich 5-ciu częściach świata.

Społeczeństwo polskie od roku 1930 zostało już wciągnięte w okresach czasu od 15-go stycznia do 15-go lutego do rocznej ofiary na rzecz Funduszu Szkolnictwa Polskiego Zagranicą, tej wielkiej skarbnicy, która zasila szkolnictwo polskie poza obrębem Rzplitej. Chwalebna ta tradycja jest ideowym przedłużeniem walki, którą niegdyś młodzież wypowiedziała zaborcy na odcinku szkolnym, żądając i walcząc najpierw przez 10 lat o powstanie polskiego szkolnictwa w b. zaborze rosyjskim, później o jego obronę. Inicjatywa Funduszu i jego realizacja rozpoczęła się właśnie na pamiątkę 25-ciolecia zwycięskiej ówczesnej walki młodzieży o szkołę polską.

Dziś, po 5-ciu latach Fundusz Szkolnictwa Polskiego stał się już instytucją milionową. W roku bieżącym zbiórkę na Fundusz Szkolnictwa Polskiego, objęło Towarzystwo Pomocy Polonii Zagranicznej. Pragnie ono prócz przeprowadzenia dorocznej zbiórki, przedstawić społeczeństwu całość zagadnienia, związać je nietylko ofiarą materialną, ale wciągnąć w orbitę czynnej, stałej współpracy na rzecz Polaków z za granicy.

Dlatego też dzień 24 stycznia będzie dniem nietylko kulminacyjnej propagandy na rzecz zbiórki, ale dniem agitacji na rzecz wstępowania w szeregi Towarzystwa Pomocy Polonii Zagranicznej. Towarzystwo to, które obecnie stawia pierwsze swe kroki, będzie miało na celu dołączenie do wielkiej już rodziny organizacyj w Polsce, które stawiają sobie, jako cel, nie sprawę obrony polskiego stanu posiadania, ale sprawę ekspansji. Organizacyjnie Towarzystwo Pomocy Polonii Zagranicznej, wypełnią lukę, która na froncie pracy na rzecz Polaków zagranicznych dotąd istniała. Ma stać się krajowym fundamentem dla Światowego Związku Polaków z za granicy i Funduszu Szkolnictwa Polskiego za granicą. Ma za zadanie uświadomienie społeczeństwa o wadze tego zagadnienia.

Pomoc ta ma jak dotychczas płynąć poprzez Światowy Związek Polaków Zagranicy i Fundusz Szkolnictwa Polskiego Zagranicą. **Bohdan Żyra.**

Rozmowa z czytelnikami

P. Bohdan Laghamer. Toruń. O warunkach przyjęcia do Szkoły Morskiej i o przebiegu nauki, jak wreszcie o opłatach za utrzymanie — pisaliśmy obszernie w „Rozmowie z Czytelnikami" w Nr. 10 „Polski na morzu", z miesiąca października.

„Ciekawy". **Maków Podhalański.** Niestety, ciekawość Pana nie może być zaspokojona. Prosimy o podanie swego nazwiska, a wtedy chętnie Panu odpowiemy.

Koło Szkolne L. M. K. przy 41 Szkole Powszechnej w Poznaniu. Jednostki pływające nazywają się statkami lub okrętami. Nazwą — statek, określa się każda jednostkę pływającą, przeznaczoną do celów handlowych, jak przewóz towarów, pasażerów, zaś wszystkie jednostki, służące do celów wojennych, obronnych — nazywamy okrętami.

Różnica ta w zasadzie nie wypływa z istoty budowy, bo ten sam statek handlowy z chwilą gdy zostanie oddany do użytku marynarki wojennej — dla celów obrony — staje się okrętem.

Dla przykładu weźmy choćby okręt szkolny marynarki wojennej „Iskrę". Gdyby ten żaglowiec był przeznaczony do celów marynarki handlowej, mówiłoby się — nie: okręt Rzeczypospolitej Polskiej (O. R. P.), „Iskra", lecz statek żaglowy — „Iskra", albo poprostu — statek „Iskra".

O choince, która do marynarzy przywędrowała

Śliczna to była jodełka! Nie było na wybrzeżu piękniejszej. Wierzcie mi, bom kaszubskie strony schodził; dzisiaj, na Boże Narodzenie, nie myślę żadnym kłamstwem się plamić. Nie chcę. Jeszczeby jakaś gęś albo koza mogłaby wziąć kłamliwą mowę za naukowe przykazania języka ludzkiego. A toż wiadomo, że takiego gadania nikomu na dzień wigilijny radzić nie wypada. Wszakże na ten czas każde stworzenie ziemskie prawdę i tylko prawdę powinno z boskiego przywileju wypowiadać. Cóż dopiero człowiek!

Rosła zatym — jak się rzekło — jodełka owa, niby prawdziwie leśny rarytas w głośnych, głębokich zagajach za wsią Tupadły. I co ciekawe, nic nie wiedziała o swojej urodzie. Ba! uważała się nawet za całkiem brzydką. Smuciło ją to, że całkiem była inna od wszystkich sióstr i braci drzewnych. To też od maleńkości na samotnym pagórku czuła się obco w szumiącej gromadzie leśnej. Pomyślcie, wszędzie w koło rosły tylko grabiny, głogi, wierzby, buczyna, sośnina.

Żeby to choć podobna była w iglastym odzieniu do szpilkowego jałowca, który krzakami gęstymi zalegał całe kaszubskie wybrzeże! Nie, — całe życie musiała być jodełka sobą. Nie odrazu więc mogła się przyzwyczaić do własnego, swoistego sieroctwa.

Ciężką wogóle miała szkołę życia. Któż jej kiedy jakie dobre słowo powiedział? Nikt. Któż chciał z nią poważnie porozmawiać? Też nikt. O, zgrozo, nie wiedziała nawet jak wygląda morze, chociaż niedaleko od jej pagórka najprawdziwsze fale Bałtyku dotykały brzegów piaszczystych. Wogóle od samego początku nikt nie zwracał na nią życzliwej uwagi. „Toż to smarkula!" — mówiły do niej wszystkie drzewa i odwracały się od niej tyłem.

Jeden tylko bezpański wiatr okazywał sierotce leśnej pewne zainteresowanie. On to kiedyś, dawno, pędząc z żarnowieckich borów, za cieniem diabla-Smętka, czy też wielkoluda-Stolema, przyniósł ją w twardej powietrznej płachcie i cisnął na ziemię, jako maleńkie, samosiewne ziarenko jodłowych szyszek. Tak to poczęło się wtedy jej życiowanie na łysej polance pagórka, wśród cieplego mchu, w samym środku gęstego zadrzewia — w „brzjdzie", jak to poszycie leśne nazywają tutejsi Kaszubi w Tupadłach i Chłapowie. Prawdziwie, na tym podglebiu przyjęła się cudem, wypadkiem i niechcący.

— Nie martw się, żeś inna! — mówił do niej nieraz ojciec-wiatr. I śmiał się na cały głos, gdy twierdziła, że musi być smutna, bo jest brzydka. — A ja ci mówię, żeś ładna! — odpowiadał i dodawał tajemniczo: — Znam się na tym, ho, ho! Bądź dobrej myśli o sobie.

W samej rzeczy, po latach kilku, choć nikt jej nie podziwiał, podrosła jodełka wgórę na trzy łokcie, zdrowo przepromieniowana słońcem i zielono rozmajona grzebyszczkami szpilek, spokojna, cienista, przy tym gładka i dziwnie łagodna, jak sama wierna piastunka, cisza, która ją do snu hołubiła.

— Co będzie ze mną?! — rozmyślała. — Czy kiedykolwiek prześcignę strzeliste sosny? Jak one są szczęśliwe, że mogą codzień z wysoka patrzeć na dalekie morze! Cóż ja. — choćbym nie wiem jak chciała, zamiast wzwyż, rosnę wszerz. Dlaczego?

— Coś-coś o tym wiem-wiem! Ale nie wiele-nie wiele! — mówił do niej szary słowik, siadając wygodnie na jej rozłożystych gałązkach.

Wsłuchiwała się w jego cudowny śpiew w długie, srebrzyste, wiosenne wieczory i noce. Opowiadał jej potem niejeden słowik o płynących gwiazdach na niebie, o zachwycie patrzenia, o tym, że pył niebieskiej drogi mlecznej można zgarnąć zielonymi gałązkami, że udźwignąć na nich można również księżycową latarnię, że ona sama jest do tego jakby stworzona, że nikt lepiej nie umiałby. „Nawet świerk! Nawet świerk!"...

Ale wiadomo, że każdy słowik jest urodzonym poetą, któremu za cudny śpiew trzeba wiele fantazji i wiele niedomówień wybaczyć. Dlatego jodełka od żadnego słowika nie dowiedziała się nigdy o tym, co też takiego mogło ją naprawdę czekać w przyszłości.

Aż kiedyś w lecie zdarzyło się, że od wąwozów Chłapowa i Rozewia zabłąkał się pod cień jodełki ziajany lis.

— O, wcale tu przytulnie! — mlasnął czerwonym językiem, podobnym do plasterka szynki, i kichnął: — Osobliwie pachniesz żywicą i wcale nie kolesz! Gałązki twoje są równolegle ułożone. Z wyglądu jesteś w istocie przepięknym drzewkiem. Możesz nawet służyć za ozdobę ludziom...

— Ludziom? — zawołała na to. — Co rozumiesz pod tą nazwą? Nigdy ludzi nie widziałam. Czy to drzewa?

— Nie, — odpowiedział z właściwą sobie przebiegłością lis. — To raczej sękate pniaki, poruszające się na dwuch ruchliwych kończynach, które im służą za nogi, jak zwierzętom. Co prawda, choć mają oni mniej nóg od zwierząt, nie można wszelako powiedzieć, iżby ludzie byli bardziej od czworonogów upośledzeni. O, nie! Przeciwnie, są znacznie od nich gorsi, a nawet całkiem źli. Nie mówiąc o powodach, dla których na przykład ciągle mnie tropią (ah, bynajmniej nie zasłużyłem na tę udrękę!) — ludzie poszukują nieustannie drzew na podpałkę, albo do różnych ozdób. Sądzę, że nie zginiesz jodełko w piecu, bo nadasz się im raczej z urody na cel lepszy. Dowidzenia!

Rzekłszy to, machnął lis rudą kitą na pożegnanie — i tyle go widziała.

Ta rozmowa z lisem-mądralą, przejęła jodełkę okrutnym strachem. Cóż z tego, że potwierdził, iż jest piękna. Słowa jego przepełniły ją niepokojem. Czerwony język lisa wsączył w nią jad goryczy. Myśl o ludziach przejęła ją wstrętem i odrazą. Miała im posłużyć kiedyś za ozdobę? Co to znaczy? Jak to rozumieć? — rozmyślała. — Więc nie zostanę zawsze wśród drzew? To jedno pewne, że skoro ludzie są gorsi od drzew i zwierząt, jakże okrutny los mnie czeka!...

Od tej pory sny i marzenia jodełki rozwiały się w nicość. Słowicze pieśni o gwiazdach wydały jej się niedoścignione. Tęskniła za nimi, jak za bajkami. — Daremnie!

Po miesiącach letnich przyszła wkrótce jesień. Wszystkie ptaki opuściły kaszubskie strony. Wśród nielicznych zimowników, pozostały czarne wrony i wścibskie wróble. Świat cały zbladł w barwach i zamienił się w okrągłą, szarą pustkę. Deszcz codzień nad jodełką płakał. Wprawdzie wicher-ojciec częściej teraz przelatywał nad nią, ale nigdy nie zatrzymał się na jej wołanie. Wiadomo, śpieszył się, nie miał wtedy czasu, pędził przed sobą chmury i kłębił mgły. Zresztą nie dziwiła mu się. Każde drzewo

uważało go przecież za swojego ojca. Tyle ich miał! „Co mu tam ja teraz, skoro wie, że podrosłam i jakoś sobie już radzę!" — dumała samotna i opuszczona na swoim pagórku.

Tymczasem na tym właśnie pagórku dziać się poczęły tej zimy niezwykłe rzeczy. Opadły wszystkie liście z drzew i roztoczył się przez to szerszy, rozleglejszy widok w dal. Mróz, który chwycił nagle ziemię w karby, ścisnął ją i trzymał, jak w kleszczach. Skurczyła się przez to ziemia i jakby zmalała. Potem sypnął śnieg i przysłonił całą okolicę białym płaszczem. Równocześnie wtedy po raz pierwszy, któregoś dnia, przekonała się jodełka, jak wzrosła i wybujała nagle nad innymi krzakami. Hoho! głową wzbijała się już wyraźnie nad pustkowiem! Ba! stwierdziła nawet, że mogła wyjrzeć nareszcie z pagórka ponad szczytami innych drzew, majaczących w rozdołach i na wydmach. Za nimi rozścielał się teraz przed nią otwarty widok w świat upragniony, błyszczący srebrną wstęgą na horyzoncie. Stamtąd dochodził ją przeciągły, nieustanny szum.



— Co to? — zapytała zziębniętego wróbla.

— To morze! — odrzekł jej wścibski ptaszek i zaraz ją objaśnił, że czarne, podłużne patyczki, które po smudze ruchliwej sunęły, toż to w istocie zbliska ogromne statki, że dym, który się z nich unosi, pochodzi z wielkich kominów, że wszyscy w lesie to wiedzą, że tylko ona jedna o tym nie wie, bo widać jest głupia.

Słuchała bez obrazy z rosnącym zaciekawieniem, aż nagle spytała:

— A są tam na tych statkach ludzie?

— Oczywiście!

Momentalnie zatrzęsła się na to w przestrachu i to tak okropnie, że wróbel spłoszony uciekł.

Nie mogła odtąd jodełka oderwać wzroku od widnokręgu. Wpatrzona w morze, liczyła w pamięci przepływające z dala statki. Ciągnęła ją ku nim jakaś siła przemożna, a równocześnie przejmował lęk straszny — przed przeznaczeniem.

Któregoś dnia, tydzień przed Wigilią, gdy trwała w takim rozmyślaniu i zapatrzeniu, zjawił się przed nią na pagórku czarny, nieznany przybysz, — twardy pniak na dwóch nogach, słowem — człowiek. Wygląd jego zgadzał się z pamiętnym rysopisem, nie zasługiwał jednak na nienawiść. Był to najpoczciwszy człowiek w okolicy, biedak, któremu za wysługi w leśnictwie pozwolono ściąć kilka choinek w borze i zabrać do Gdyni na sprzedaż. Długo szukał samotnej jodełki na pagórku, zanim ją znalazł. W rękach miał błyszczącą siekierę. Zbliżył się i uderzył nią w pień drzewka.

Jodełka padła zemdlona na ziemię. W upadku tym nieszczęśliwie obłamała sobie dwie najpiękniejsze gałązki szczytowe.

★

Działo się to w Gdyni, na jednej z ulic przedmieścia, w sam dzień Wigilii.

— Ile chcecie za tę choinkę? — zapytał pewien młody marynarz Kaszubę, wskazując palcem drzewko o dwóch nadłamanych gałązkach.

Kaszub od dwóch dni sterczał z tą choinką w ulicy. Napróżno. Inne sprzedał, ta ludziom się nie podobała. Przecież nikt nie chciał okaleczonego drzewka kupić. To też wymienił niską cenę. Jakież było jego zdziwienie, gdy marynarz sięgnął do kieszeni i wyciągnął ku niemu garść brzęczącej monety.

— Przecież pan dał za dużo! — zawołał.

— Weźcie sobie wszystko! — odparł marynarz. — Marzyłem o takiej właśnie choince. Nic nie szkodzi, że ma złamane gałązki. Dla mnie ona i tak piękna! Weźcie pieniądze. Wam to i mnie — na szczęście! Czas wam wracać do domu na Wigilię, i mnie nie wiele czasu pozostało, by się nacieszyć dzisiaj tą chwilą święta.

Bo trzeba wiedzieć, że ledwo dnia tego marynarz ów przybył z podróży do Gdyni, już nazajutrz miał port na swoim statku opuścić. Z ładunkiem węgla nie wolno zwlekać, a ładowanie statków w Gdyni odbywa się prawie w okamgnieniu. To już skądinąd zaleta gdyńskich urządzeń technicznych.

— Trudno! — westchnął marynarz, podnosząc choinkę na ramię. — Co prawda, wolałbym dłużej zabawić w porcie, ale co mam robić skoro pozostał mi tylko jeden wieczór odpoczynku. Chwalić Boga chociaż, że wypadł na samą Wigilię!

Dopiero w ciepłej kajucie na statku, ocknęła się choinka z długotrwałego omdlenia. Czuła, że jej obłamane gałązki, podniosły w górę czyjeś ręce i troskliwie umocowały sznurkiem. Równocześnie na ścianie, w tafli lustra, ujrzała swoje odbicie. — „Nie! to niemożliwe!" — pomyślała. — „To chyba nie ja sama!" Cała błyszczała od jasnych świecideł! Zwieszały się z niej gwiazdy srebrzyste, a nawet nie jedna, ale kilka księżycowych latarni. Obsypana była migotliwym pyłem niebieskiej drogi mlecznej. To anielskie włosy spowiły ją wzdłuż, wszerz i wokół. Ogarnęła ją szalona radość. Sprawdziły się więc pieśni słowików!

Nagle drgnęła. Nie była sama. Stał przy niej — człowiek! Czyżby jemu zawdzięczała tę chwilę radosnego upojenia? Zdziwiła się przy tym, bo kręcący się przy niej człowiek najmniej był podobny do obrazu wysnutego z jej wyobraźni. Przecież nie

doznawała przy nim ani lęku, ani rozpaczy, — przeciwnie, z przyjemnością sama podawała mu swoje gałązki dla zawieszania na nich nowych ozdób. Oczy człowieka płonęły najwyraźniej tym samym blaskiem szczęścia, które z siebie w tej chwili wyłaniała. Byli sobie tak bliscy, jakby stanowili razem jedną nierozerwalną całość.

— Choinko moja! — zaszeptał wreszcie głos marynarza w zachwycie.

Nie słyszała tak miłego tonu głosu nawet od najpieszczotliwszego powiewu wiatru. Jakże ten twardy pniak o dwóch nogach ją przyjemnie zadziwił! Wsłuchała się tedy pilnie, chwytając z jego ust każde słowo. A tymczasem marynarz, nie ustając przy ubieraniu choinki, dogadywał raz po raz z rozczuleniem:

— Przypłynąłem z daleka, i ty z daleka przyszłaś do mnie. Nie wiemy nic o sobie, a przecie długo szukaliśmy siebie! Popatrz, jak nas los dzisiaj pięknie połączył! Zastąpisz mi wszystkie moje tęsknoty za domem, za rodziną. Czy wiesz, że tam, skąd mnie oczy w dal morską poniosły, rośnie dużo jodełek takich, jak ty? Dobry jest Bóg, że mi cię dał na Wigilię. Nie będę sam, skoro będziesz ze mną i z wspomnieniami mojego dzieciństwa. Z serca za to zakolęduję, jak i moi koledzy. Bogu i tobie. Zamorusani są tam oni teraz przy ładowaniu węgla, ale za chwilę, gdy skończą pracę, przyjdą tutaj do nas czyści, — jak te białe opłatki, które o, tu, kładę na wiązce siana pod gałązkami twoimi, choinko. Bo dziś się Chrystus narodził, i narodziła się radość wszystkiego stworzenia! Nic to, że masz dwie gałązki chrome! I moje ręce sterane są reumatyzmem, który mnie od lat łamie. Taki los każdego marynarza. To z chłodu, z wilgoci, z ciągłego przeciągu na morzu. Ha, ha, pasujemy widzisz całkiem do siebie.

Choinka uczuła słodki dreszcz wzdłuż nadłamanych gałązek. To marynarz je głaskał. Równocześnie ten twardy pniak na dwóch nogach, ten nieznajomy, przedziwny człowiek, ogarniał ją spojrzeniem oczu, podobnych do najczystszego lazuru. Kiedy zbliżył się do niej po raz wtóry, usłyszała najwyraźniej jak mu biło serce i jak ten odgłos serca zlewa się w jedną melodię z jego słowami i pluskiem fal morskich, które uderzały za ścianą o metalowe burty kabiny.

— Wszyscy ludzie muszą być dobrzy! — pomyślała wtedy. — Najlepsi z nich jednak to napewno marynarze! O, nie miał słuszności rudy lis, przestrzegając mnie przed ludźmi! Ani graby, ani głogi, wierzby, buki, ani sosny nie doznają nigdy tyle szczęścia, co ja tutaj wśród ludzi!

Wtem otwarły się drzwi. Głośne okrzyki i śmiechy zapełniły kabinę. Marynarz podniósł palec do góry i zawołał nad tłumem:

— Patrzcie, koledzy! Oto niespodzianka, — najprawdziwsza, lądowa choinka!

Oczy jego płonęły, jak iskry. Toż od tych iskier chyba zapłonęły nagle wszystkie świeczki na gałązkach jodełki, a od blasku tych świeczek zajął się chyba ów potężny śpiew, który wybuchł ze wszystkich serc, jak słup ognia w górę:

— Bóg się rodzi...

Bóg się rodzi! — Śpiewała wraz z wszystkimi choinka, której cud Wigilijnego wieczoru dał nowę całej ziemi, iżby szła na spotkanie ludzi morza, jak oni sami tylekroć razy do niej w tęsknotach dalekich dążyli.

— Bóg się rodzi w sercach ludzkich! Niech-że ci będzie dobrze z nami! — mówiły do choinki oczy wszystkich.



— Bóg z wami! Bóg mieszka w dobroci! — odpowiadała każdym mrugnięciem świeczek.

I zdawało jej się, że rośnie w górę, że dosięga nieba.

A przecież to tylko dobre niebo zstąpiło z wysokości na ziemię i ogarnęło tutaj wszystkich bez różnicy Chrystusową miłością, nie zapominając o opuszczonych wśród morza marynarzach, ani o samotnej, jak oni, choince, która ozdobą stała się ich gorejących uczuć.

Janusz Stępowski.

Z ŻYCIA KÓŁ SZKOLNYCH

Modelarstwo. W Kołach Szkolnych ostatnio wprowadzono nowy dział pracy — modelarstwo, które cieszy się wielkim powodzeniem. Instruktor L. M. K. przeprowadził ćwiczenia z modelarstwa okrętowego w Lublinie, Krakowie, Sandomierzu, Lwowie i Łodzi.

W najbliższym zaś czasie udaje się do Ostrowca, Stanisławowa, Warszawy, Radomia i Sosnowca.

Kurs ideologiczno - organizacyjny.

Pragnąc pogłębić pracę Kół Szkolnych Zarząd Główny L. M. K., organizuje w Warszawie w dniach 3, 4 i 5 stycznia 1937 r., specjalny kurs ideologiczno - organizacyjny. W kursie tym winni wziąć udział kierownicy (prezesi) Kół Szkolnych L. M. K. Bliższe dane otrzymały już Koła z odnośnych Okręgów.

2-ga rejestracja Kół Szkolnych L. M. K.

Termin nadsyłania kart rejestracyjnych upłynął z dniem 15 grudnia. Czy wszystkie Koła spełniły ten organizacyjny obowiązek?

Okręg Poleski L. M. K. Sekcja dla spraw młodzieży. Okręgu Poleskiego wypracowała nowy program. którego realizacja spowodować powinna powiększenie zastępów młodzieży, rozumiejącej dla Polski konieczność pracy na morzu.

Program ten obejmuje następujące działy: organizacyjno - ewidencyjny, pedagogiczno - wyszkoleniowy, propagandowy, turystyczno - wycieczkowy. zbiórki na FOM, i wreszcie współpracy z młodzieżą innych okręgów wraz z młodzieżą z za granicy.

Poza sprawami ściśle organizacyjnymi sekcja będzie:

Współdziałać z Instruktorami W. F. i Harcerstwa, aby przy ich pomocy wzbudzać zainteresowanie młodzieży sprawami wychowania wodnego i sportów wodnych;

Utrzymywać kontakt z nauczycielami W. F., celem przeprowadzenia pracy wyszkoleniowej, zgodnie z założeniami L. M. K.

Organizować kursy modelarstwa okrętowego w Brześciu nad Bugiem. w Pińsku i Łunińcu.

Czuwać, aby Koła Szkolne prowadziły pracę przeszkoleniową w sezonie letnim w miejscowościach mających po temu warunki: n. p. Brześć, Pińsk, Stolin, Dawidgródek.

Wysyłać kilku członków Kół Szkolnych do obozu żeglarskiego nad Naroczą.

Współdziałać z Koła Szkolnymi w kierunku pozyskania dla tych ostatnich przystani i sprzętu wodnego.

Wreszcie celem rozpowszechnienia idei L. M. K. sekcja będzie propagować czytelnictwo wydawnictw L. M. K., oraz organizować odczyty i pogadanki.

Dalej sekcja zajmie się inicjowaniem wycieczek rzecznych i nad morze oraz nawiąże żywą współpracę z sekcją turystyki Okręgu.

Będzie współdziałać z Sekcją zbiórki na F. O. M., propagując rozprzedaż znaczków przez Koła Szkolne. W dziale współpracy z młodzieżą sekcja będzie propagować korespondencję z młodzieżą z innych Kół Szkolnych oraz z młodzieżą z za granicy.

Z Okręgu Lubelskiego.

W związku z „Dniami Kolonialnymi", ciekawy konkurs wśród młodzieży na najlepszy artykuł ogłosił Okręg Lubelski. Do konkursu tego może przystąpić jedynie młodzież z terenu Okręgu.

Tematy artykułów podzielone zostały na cztery działy: kolonialny, historyczny, literacki, oraz poezję.

Za najlepszy artykuł przewidziana jest wycieczka morska na Borholm, Kopenhagi lub Sztokholmu.

Piękna inicjatywa.

Ostatnio zorganizowane zostały nowe Koła Szkolne L. M. K. w: Brzezinach, Kocku, Małej Brzostowicy, Łopienniku Dolnym i Opolu. W Puławach zaś powstał oddział szkolny L. M. K., który liczy 770 członków. Następnie odbyły się liczne zebrania organizacyjne i tak w:

Rymanowce w miejscowej szkole powszechnej im. Marszałka Piłsudskiego, pod przewodnictwem opiekunki Koła p. Wolskiej, zdecydowano założyć koło, do którego wstąpiło 107 uczniów;

Mukoszynie oddziały III i IV szkoły powszechnej zorganizowały koło. Opiekunem został p. Krystek. Nowe Koło liczy 25 członków, którzy uchwalili zbierać się raz na tydzień dla omówienia spraw związanych z morzem i koloniami. Pogadanki mają wygłaszać sami uczniowie;

Rawiczu również odbyło się zebranie organizacyjne Koła zainicjowane przez uczniów Szkoły Powszechnej Nr. 3. Pogadankę o zadaniach Koła wygłosił apiekun p. Stasiak. Koło zdecydowało pracować w sekcjach: rysunkowej, modelarskiej i odczytowej. Do Koła przystąpiło 30 uczniów;

Stryju szkoła żeńska im. Św. Kingi, na specjalnym zebraniu przy udziale 260 uczenic zorganizowano Koło Szkolne;

Mikołajowie odbyły się 2 zebrania przy gimnazjum Ks. Salwatorów, do którego wstąpiło 84 uczniów, oraz przy publicznej szkole dokształcającej zawodowej, które liczy obecnie już 70 członków.

Sosnowiec. Ciekawy zwyczaj wprowadziło Koło Szkolne przy szkole powszechnej Nr. 19, mianowicie, przed każdym zebraniem Koła jest dekorowana sala flagami i obrazami morskimi.

Tymienica. W miejscowej 7-mio klasowej szkole powszechnej już od roku istnieje Koło, opiekunem którego jest p. Dziedziniewicz. Koło liczy 88 członków, którzy wpłacili łącznie 44 zł 60 gr na rzecz L. M. K. Koło odbyło cztery zebrania, poświęcone sprawom organizacyjnym, oraz dla wysłuchania specjalnych pogadanek opiekuna.

Starogard. Tutejsze Koło Szkolne przy szkole powszechnej Nr. 2, zorganizowało ciekawą wycieczkę statkiem do Gdyni i Pelplina, a ostatnio w 18-tą rocznicę Niepodległości. urządziło wieczorek morski, na program którego złożyły się śpiewy, deklamacje i obrazek sceniczny. Kołem opiekuje się p. Żytyńska.

Z wybrzeża i morza

W OBRONIE PÓŁWYSPU HELSKIEGO

Półwysep helski, który wrzyna się w morze wąziutkim pasem ziemi, narażony jest na ciągłą walkę z niszczycielską siłą nawałnic morskich. Wymaga to stałej i czujnej opieki wybrzeża. Urząd Morski podjął też oddawna pracę nad zabezpieczeniem półwyspu. Ostatnio prace te prowadzone są ze szczególną energią, przy czym specjalną uwagę zwraca się na dawne kanały, które przed wiekami przecinały półwysep i łączyły wody zatoki z pełnym morzem. Najczujniejszej opieki wymagają odcinki brzegu między Wielką Wsią a Chałupami jak również pod Kuźnicą. W miejscach tych tworzy się sztuczne wydmy, polegające na tym, że w specjalnie wykopanych rowach wbija się potężne słupy, między którymi zakłada się faszynę, głazy i piasek. Z czasem tama zostaje zasypana piaskiem i tworzy ową sztuczną wydmę, która zabezpiecza brzeg przed najsilniejszymi atakami morza. Wydmy takie wznoszą się bardzo szybko, o czym świadczy najlepiej fakt, że zabezpieczenie pod Chałupami jest już częściowo zasypane i tworzy mocno osadzoną wydmę.

UDZIAŁ POLSKIEJ FLOTY HANDLOWEJ W OBROTACH ZAMORSKICH POLSKI. Jak wynika z ostatnich obliczeń, statki polskiej floty handlowej pracują coraz wydajniej i coraz większy udział biorą w ruchu zamorskim Polski. Tak naprz. w ciągu pierwszych dziewięciu miesięcy r. 1936 ogólne przewozy polskiej floty handlowej wyniosły przeszło 1 milion ton, a wywóz i przywóz na statkach polskich stanowił 10.3% ogólnych zamorskich obrotów przez porty polskie.

Statki polskie przewiozły w tym czasie 38 i pół tysiąca pasażerów w żegludze dalekomorskiej; duży był również ruch przybrzeżny i wycieczkowy. W ciągu pierwszych trzech kwartałów r. 1936 odbyło się 16 wycieczek morskich, w których uczestniczyło blisko 8.500 turystów. Dzięki stałej rozbudowie i zakupieniu nowych jednostek ogólny tonaż polskiej floty handlowej wzrósł do blisko 99 tysięcy ton rej. brutto co stanowi już poważny dorobek naszej młodej floty.

DALSZA ROZBUDOWA PORTU GDYŃSKIEGO. W porcie gdyńskim przybyło nowe urządzenie, które będzie miało duże znaczenie dla dalszego rozwoju portu gdyńskiego, a mianowicie w najbliższym czasie zostanie oddany do użytku potężny elewator zbożowy, który ma stanowić magazyn dla zboża, przechodzącego przez port gdyński. Elewator ten jest urządzony według ostatnich wymagań techniki, ma potrzebne urządzenia przeładunkowe, dzięki którym może przeładowywać w ciągu godziny do 300 ton zboża. W magazynie tym zmieści się do 10 tysięcy ton zboża, a z czasem ma być o tyle powiększony, że pomieści nawet 30 tysięcy ton. Jak widać już z tych kilku liczb nowy elewator pozwoli na masowe przechowywanie i przeładunek w porcie gdyńskim zboża, które dotychczas szło prawie wyłącznie na port gdański.

PRACA PORTU GDYŃSKIEGO. Obroty towarowe portu gdyńskiego w miesiącu listopadzie r. 1936 osiągnęły wyjątkową wysoką liczbę blisko 747 tysięcy ton. Wzrósł w tym czasie zwłaszcza przywóz zamorski, który wyniósł blisko 160 i pół tysiąca ton, co jest najwyższą cyfrą przywozu, notowaną dotychczas w obrotach partu gdyńskiego. Wzrosły również niemal dwukrotnie obroty przybrzeżne łącznie z w. m. Gdańskiem, jak również obroty drogą wodną z wnętrzem kraju.

POŁOWY MORSKIE. W ciągu listopada r. 1936 ogólne połowy polskiego rybołóstwa morskiego dały blisko 2 miliony 300 tysięcy kg ryb o wartości ponad 835 tysięcy złotych. Należy przy tym nadmienić, że prawie połowę tych połowów stanowią dalekomorskie śledzie na Morzu Północnym, które odgrywają coraz większą rolę w naszym rybołóstwie morskim.

POLSKIE PORTY RYBACKIE. Ważniejszymi portami rybackimi naszego wybrzeża były dotychczas Hel, Jastarnia i Puck. Ostatnio rozpoczęto budowę na pełnym Bałtyku portu rybackiego w Wielkiej Wsi-Hallerowie, który też będzie największym portem rybackim w Polsce, gdyż jego powierzchnia wodna wynosi 14 i pół hektara, podczas gdy powierzchnia największego dotychczasowego portu rybackiego w Helu wynosi tylko 10 i pół hektara, Jastarni 8 hektarów a Pucka zaledwie ćwierć hektara. Dla porównania należy zaznaczyć, że powierzchnia wodna portu gdyńskiego wynosi 950 hektarów.

RUCH STATKÓW W PORCIE GDYŃSKIM. W przeciągu listopada r. 1936 przeszło przez port gdyński ogółem 917 statków o łącznej pojemności ponad 882 tysiące t. r. n. Pierwsze miejsce zajęła tym razem również bandera szwedzka, a polska znalazła się znowu na drugim miejscu. Średnio przebywało w porcie gdyńskim jednocześnie 51 statków o łącznej pojemności blisko 955 ton

Rozrywki umysłowe



Z podanego rebusu należy odczytać czterowyrazowe treściwe zdanie.

„Wirenel" (Warszawa)

✱

Za rozwiązanie powyższego rebusu Redakcja „Polski na Morzu" przeznacza 5 wartościowych nagród książkowych. Termin nadsyłania rozwiązania rebusu upływa *28 stycznia 1937 r.* Rozwiązania należy nadsyłać do Redakcji „Polski na Morzu" z dopiskiem *„ROZRYWKI UMYSŁOWE"*.

Na temat pięknej szarady *„John Ly'a"*, tak odpowiada p. Tokarzewski Jerzy z Białki:

Niech przez wszystkie morza świata,
Przez bezkresne szlaki wód
Płynie *„flota narodowa"*
Gdzie jest tylko polski lud. —
Niech mu niesie zew o kraju.
Niech doń mówi ojców mową.
Niech wie Polak na obczyźnie —
Że ma *„flotę narodową"*.

✱

Szaradę rozwiązało bezbłędnie 125 osób. W rezultacie nagrody książkowe otrzymują pp.:

1) *Jankowska Halszka — Toruń,* ul. Mickiewicza Nr. 86 m. 4.
2) *Inż. Albrecht Stefan — Kielce,* Focha 26.
3) *Jurasz Piotr — Kraków,* ul. Rakowicka 22.
4) *Szkoła Powszechna — Rajsko,* p-ta Oświęcim.
5) *Kroma Franciszek — Tczew,* ul. Strzelecka 6 m. 6.

✱

PRENUMERATA ROCZNA 2 ZŁOTE

Adres redakcji i administracji: Warszawa, Widok 10, telefony: red. 290-95, admin. 6-99-66.

WYDAWCA: Liga Morska i Kolonjalna — Redaktor: Henryk Sikorski.

Druk. Zakł. Graf. „Dom Prasy". S. A., Warszawa, Marszałkowska 3.